

Stefan Amsterdamski Dwa lata później: uwagi o reformach w szkolnictwie wyższym i w nauce*

Autor omawia dylematy, trudności i konsekwencje reform zapoczątkowanych przed dwoma laty w Polsce w sferze nauki i szkolnictwa wyższego. Na wstępie pokazuje, w jakim stopniu kształtowane przez 40 lat po wojnie polskie rozwiązania w dziedzinie szkolnictwa i nauki różniły się od radzieckiego pierwowzoru.

Po zarysowaniu podstawowych założeń reform autor przechodzi do omówienia kontrowersyjnego problemu – zakresu interwencji państwa w obu sferach. Zwraca uwagę na trudności zewnętrzne – tkwiące poza samą nauką – tworzenia polityki naukowej, a także na ograniczenia strukturalno-organizacyjne, społeczne i finansowe zawarte w systemie nauki.

W dalszej części artykułu autor ukazuje rzeczywistą rolę mechanizmów finansowania nauki i szkolnictwa wyższego, sposób ich stosowania, stopień spójności, a także kłopoty związane z realizacją zasad konkurencji i oceny badań naukowych. Omawia problemy przebudowy instytucji badawczych i edukacyjnych oraz czynniki utrudniające lub opóźniające proces restrukturyzacji. W końcowej części artykułu przedstawia zagadnienia dotyczące personelu badawczego i nauczającego – ograniczenia polityki kadrowej, mechanizmów selekcji, bariery dopływu młodej kadry i starzenie się personelu.

Wstęp

System szkolnictwa wyższego i badań naukowych funkcjonujący w Polsce od 40 lat został ukształtowany na tym samym dobrze znanym radzieckim wzorze jak w innych krajach Europy Środkowej i Wschodniej. Podobnie jak gdzie indziej, był on biurokratyczny, scentra-

* Tekst ten jest znacznie skróconą wersją referatu *Two Years after the Polish Reforms in Education and R+D Systems*, wygłoszonego 12 grudnia 1992 r. w Wiedniu na międzynarodowej konferencji poświęconej reformom systemu szkolnictwa i badań naukowych w krajach Europy Środkowej i Wschodniej, zorganizowanej przez Instytut Wiedzy o Człowieku w Wiedniu (IWM). Skracając go, pominąłem przede wszystkim streszczenie ustaw dotyczących szkolnictwa wyższego i nauki uchwalonych w latach 1990-1991, zakładam bowiem, że są one znane polskiemu czytelnikowi. Pisząc wspomniany referat, wykorzystałem m.in. dwa teksty uprzednio opracowane na zlecenie tegoż Instytutu: S. Amsterdamski, J. Jabłeczka: *Report on Higher Education and Research System in the Transitional Period*, November 1991 (materiał powielony przez IWM) oraz S. Amsterdamski: *Qualitative Study: Opinions Concerning Changes in the Higher Education and the R+D Sphere after the Polish Reforms of 1990-91*, October 1992 (materiał powielony przez IWM), oparty na wywiadach z 32 polskimi uczonymi oraz kierownikami instytucji badawczych i szkół wyższych, przeprowadzonych latem 1992 r.

lizowany, mało wydajny, nadmiernie rozbudowany. Podlegał ścisłej kontroli aparatu państwowego i partyjnego. Mimo to różnił się od swego pierwowzoru wieloma istotnymi cechami.

Po pierwsze – przynajmniej od roku 1956, a zwłaszcza w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, system ów nie był tak izolowany od Zachodu jak w innych krajach tego regionu. Setki polskich uczonych, jeśli tylko nie było bezpośrednio uwikłanych w działalność opozycyjną, swobodnie wyjeżdżało za granicę, pracowało tam, nawiązywało kontakty osobiste i instytucjonalne, publikowało swe prace. Zachodnia literatura była dostępna, choć często z dużym opóźnieniem. Nie brakowało wiedzy ani o tym, nad czym pracują nasi zachodni koledzy, ani o zasadach funkcjonowania systemu szkolnictwa wyższego i badań w tych krajach. Wielce ograniczone były wszakże możliwości wykorzystania tej wiedzy. Odegrała ona jednak istotną rolę w procesie reformowania systemu po roku 1989.

Po drugie – w Polsce nie doszło do tak głębokiej separacji badań i nauczania jak w innych krajach tego regionu, np. w Czechosłowacji czy na Węgrzech. Aczkolwiek, jak gdzie indziej, Akademia Nauk była (i formalnie wciąż pozostaje) organem państwa odpowiedzialnym za rozwój badań, to w Polsce nie miała ona monopolu w tej dziedzinie: szkoły wyższe w znacznym stopniu uczestniczyły zarówno w badaniach podstawowych, jak i stosowanych. Kariera zawodowa pracowników szkolnictwa wyższego zależała w dużej mierze od ich osobistego dorobku naukowego (a nie tylko dydaktycznego), nawet jeśli na ocenę tego dorobku, zwłaszcza w naukach społecznych i humanistycznych, miały często wpływ czynniki pozamerytoryczne. Znów inaczej niż w innych krajach „bloku”, te same formalne wymogi awansu (doktorat, habilitacja) obowiązywały zarówno w szkołach wyższych, jak i w placówkach badawczych. Chociaż pracownicy naukowi zatrudnieni w instytutach PAN nie brali takiego udziału w działalności dydaktycznej jak powinni, to przynajmniej niektórzy z nich byli związani z uczelniami i nie istniały żadne przeszkody prawne przechodzenia z jednej instytucji do drugiej. Cokolwiek byśmy sądzili o biurokratycznie zarządzanych centralnych i resortowych programach badawczych, obejmowały one zarówno pracowników Akademii, jak i szkół wyższych oraz jednostek badawczo-rozwojowych. Ponad 70% personelu naukowego ze stopniami i tytułami naukowymi pracowało w szkołach wyższych. Toteż degradacja potencjału badawczego uczelni, przynajmniej tych najlepszych, z długą tradycją, nie poszła tak daleko jak w innych krajach, a konflikty między poszczególnymi „pionami nauki” – choć istotne – nie podzieliły społeczności badaczy i nauczycieli akademickich w sposób tak radykalny jak w innych krajach postkomunistycznych.

Po trzecie – próby reformowania systemu szkolnictwa wyższego i badań podejmowane były w Polsce dużo wcześniej niż w innych krajach „bloku”, bo już na początku lat osiemdziesiątych. Stan wojenny w znacznym stopniu je zatrzymał, ale mimo to cieszyły się wówczas mocnym poparciem „Solidarności” oraz studentów. Rok 1989 zasadniczo przyspieszył proces reformowania. Nowe ustawy: o szkolnictwie wyższym, o stopniach i tytule naukowym, o Komitecie Badań Naukowych oraz nowelizacja ustawy o jednostkach badawczo-rozwojowych zostały przygotowane już w 1990 r., za rządu T. Mazowieckiego. Aczkolwiek z różnych względów nie udało się opracować jednej ustawy, obejmującej cały obszar badań naukowych i szkolnictwa wyższego – co byłoby być może lepszym rozwiązaniem, ale ogromnie opóźniłoby proces legislacyjny – to nowe ustawy dotyczące poszczególnych pionów nauki były oparte na tych samych założeniach, zgodnych z globalnymi reformami politycznymi oraz gospodarczymi i obowiązują do dzisiaj.

Od chwili rozpoczęcia procesu reformowania kraju było rzeczą jasną, iż przekształcenie gospodarki nakazowej w rynkową wyłącznie metodami rynkowymi (czy też społeczeństwa niedemokratycznego w demokratyczne wyłącznie metodami demokratycznymi) będzie nie-

zwykle trudne, jeśli w ogóle możliwe. Toteż od samego początku główne pytanie dotyczyło kwestii: *jak daleko może i powinna posuwać się interwencja państwa?* Pytanie to odnosi się także do interesującego nas tu obszaru szkolnictwa wyższego i nauki.

Co więcej, reformy roku 1990 były uchwalane w okolicznościach silnej i zorganizowanej presji społecznej na rzecz samorządności we wszystkich dziedzinach życia społecznego oraz w atmosferze daleko idącej podejrzliwości wobec wszelkich władz, nawet tych wybranych demokratycznie. Wprawdzie w toku procesu legislacyjnego udało się odrzucić najbardziej skrajne postulaty pozbawienia państwa niemal wszystkich jego uprawnień do ingerencji w obszar szkolnictwa wyższego i badań (rzecz jasna, z wyjątkiem obowiązku ich finansowania), to jednak treść nowych ustaw nosi widoczne ślady tej presji.

Dając instytucjom nauki i szkolnictwa wyższego szeroką autonomię wobec agend państwa oraz zapewniając społeczności akademickiej daleko posuniętą samorządność dzięki ograniczeniu kompetencji wybranych jednoosobowych ciał kierowniczych na rzecz ciał zbiorowych, reforma stworzyła tym samym możliwości prawne utrudniania i hamowania jej realizacji. Przyjmowano założenie, że tego rodzaju obstrukcja jest nieuniknionym kosztem demokratycznego procesu reformowania oraz że w nowych okolicznościach gospodarczych i społecznych, wraz z postępem reform, nie będzie się ona (przynajmniej na dłuższą metę) opłacać. Aczkolwiek sędzę, że założenia te były i pozostają słuszne, wkrótce miało się okazać, iż owa meta była dalej niż się optymistycznie zakładało. I to z kilku powodów.

Po pierwsze, reforma wprowadzała zasadę merytorycznej konkurencji między instytucjami, zespołami i poszczególnymi badaczami w ubieganiu się o wszelkiego rodzaju środki. Było rzeczą oczywistą, iż w nadmiernie i niewłaściwie rozbudowanej strukturze szkolnictwa i badań wiele instytucji oraz osób nie wyjdzie cało z takiej konkurencji i będzie się jej sprzeciwiać. Wprawdzie niemal nikt nie oponował przeciwko samej zasadzie, ale tylko dopóty, dopóki go ona bezpośrednio nie dotykała.

Dramatyczny kryzys budżetu państwa w latach 1991-1993 zasadniczo wpłynął na przebieg procesu reformowania: z jednej strony – konkurencję merytoryczną zastępuje często w tych warunkach walka o przeżycie, prowadzona na zasadzie *catch as catch can*, a z drugiej – szczegółowe restrykcyjne rozporządzenia finansowe nierzadko są przeciwskuteczne procesowi reformowania.

Po drugie: reforma uzależniła finansowanie przemysłowych badań stosowanych od rzeczywistego zapotrzebowania przedsiębiorstw na te badania, co nie spotkało się z zachwytem całkiem nieźle dotąd prosperujących jednostek, prowadzących „*recherches appliquées non applicable*”. Co gorsza, nawet placówki o wyższym poziomie mają ogromne trudności ze sprzedażą swych prac ze względu na recesję gospodarczą i konkurencję zagranicznej technologii. Generalnie mówiąc, recesja w znacznym stopniu utrudniła trzymanie się zasady, iż zaplecze badawcze przemysłu powinno być finansowane przynajmniej w 50% przez użytkowników jego prac, a nie przez budżet państwa. Radykalne stosowanie tej zasady doprowadziłoby dziś do bankructwa ogromną część tego zaplecza.

Po trzecie, trudno się było spodziewać, że stare konflikty między różnymi „pionami nauki” i grupami nacisku działającymi w ramach społeczności akademickiej automatycznie wygasną tylko dlatego, że reforma wprowadziła analogiczne warunki finansowania dla wszystkich pionów i instytucji. Chociaż bariery między nimi zostały obniżone, konflikty dają o sobie znać w procesie redystrybucji przez KBN skąpych środków budżetowych i są źródłem rozmaitych propozycji ograniczenia środków na projekty badawcze („granty”) na rzecz finansowania statutowego, ograniczenia finansowania badań podstawowych na rzecz

stosowanych, a nawet powrotu do starej metody redystrybucji środków budżetowych na badania między różne ministerstwa i Akademię.

Po czwarte, reforma systemu finansowania jest sprzeczna z mocno zakorzenionymi w społeczności akademickiej zwyczajami: stabilnością zatrudnienia, otrzymywaniem środków na badania niezależnie od uzyskanych dotąd wyników, z postawami egalitarnymi. Postawy te i przyzwyczajenia hamują restrukturyzację instytucji badawczych i szkół, redukowaniem personelu, zatrudnianiem młodych, zdolnych absolwentów, przekształcanie systemu płac, nie mówiąc już o likwidowaniu niektórych instytucji.

Wreszcie, po piąte, ponieważ reforma wprowadzana jest w życie w warunkach dramatycznej redukcji budżetu, brak środków traktowany jest często jako wynik reformy. Osobiście sędzę, że gdyby nie reforma, redystrybucja skąpych środków na uprzednich zasadach doprowadziłaby do bankructwa nawet najlepsze instytucje badawcze i szkoły wyższe.

Jakkolwiek by było, wszystkie te wzajemnie związane okoliczności – recesja, dyskusyjny zakres interwencji państwa, konflikty wewnątrz społeczności akademickiej i wynikający z rozmaitych źródeł opór wobec reformy – mają istotny wpływ na realizację jej konkretnych założeń.

Zakres interwencji państwa

Opinie czołowych polskich ekspertów i kierowników życia akademickiego¹ na temat podstawowych założeń reformy zawierają się między dwoma przeciwstawnymi stanowiskami. Wedle pierwszego z nich reforma była nie dość radykalna i pozostawiła państwu zbyt szeroki zakres interwencji; wedle drugiego, na odwrót, proces demokratyzacji poszedł zbyt daleko i z jednej strony – pozbawił państwo niezbędnych instrumentów ingerencji oraz kontroli, z drugiej zaś – nadmiernie ograniczył kompetencje decyzyjne jednoosobowych ciał kierowniczych, oddając je senatom, radom naukowym i innym ciałom zbiorowym. Wiele z postulowanych dziś dalszych zmian sytuacji prawnej dotyczy właśnie tej zasadniczej kontrowersji.

Polityka naukowa

Kwestia właściwego zakresu ingerencji państwa w badania naukowe dotyczy przede wszystkim sprecyzowania polityki naukowej państwa i jej priorytetów.

Na mocy *Ustawy o Komitecie Badań Naukowych*, Komitet – będący na wpół ciałem korporacyjnym, a na wpół agendą państwa – ma zarówno wypracowywać, jak i realizować politykę naukową państwa. Przez dwa lata KBN nie zdołał jednak przedstawić rządowi projektu takiej polityki². Przyczyny tego stanu rzeczy były co najmniej dwojakie.

Po pierwsze, okazało się, że powierzenie określenia priorytetów badawczych komitetom złożonym z uczonych zaowocowało listą „priorytetów” obejmujących niemal całość prowadzonych obecnie badań. Stało się oczywiste, że wybrani członkowie KBN reprezentują nie tyle interesy państwa, ile specjalistycznych społeczności, których czują się przedstawicielami. Po drugie, odpowiedzialne określenie priorytetów badawczych w dziedzinie badań

¹ Analizę tych opinii zawiera raport *Qualitative Study...*, op. cit.

² Założenia te zostały wypracowane dopiero jesienią 1992 r., a w marcu 1993 r. zatwierdzone przez Radę Ministrów.

stosowanych jest *niemal* niemożliwe, gdy brak sprecyzowanej polityki przemysłowej i społecznej państwa³. W tej sytuacji Komitet, wbrew założeniom ustawy, nie mógł przystąpić do ogłaszania konkursów na priorytetowe tematy badań stosowanych („granty zamawiane”), a jedynym kryterium przyznawania środków na badania podstawowe i stosowane zarówno instytucjom (finansowanie statutowe), jak i zespołom badawczym (finansowanie projektów) była ocena ich poziomu naukowego.

W przypadku badań podstawowych taka polityka wydaje się zasadna, przynajmniej dopóty, dopóki wąsko pragmatyczny stosunek do nauki pozostaje rzeczywistym niebezpieczeństwem. Wyniki badań podstawowych są nieprzewidywalne; nie są towarem – nie podlegają ani patentowaniu, ani sprzedaży; są dobrem kultury. Toteż jeśli chcemy uniknąć powrotu do sytuacji, w której finansowanie zależało od określanych arbitralnie (na podstawie siły przebicia poszczególnych *lobbies*) priorytetów, system finansowania badań podstawowych nie może i nie powinien być podporządkowany potrzebom praktycznym. Taka polityka nie sprzyjała gospodarce, dewaluowała natomiast merytoryczne kryteria oceny. Jest bowiem rzeczą oczywistą, iż wówczas gdy użyteczność traktowana jest jako kryterium oceny badań podstawowych, oceny tej nie może ferować społeczność badaczy, w grę bowiem wchodzi kryteria pozanaukowe. Na tym właśnie założeniu oparta była ustawowa decyzja o istnieniu w KBN odrębnych komisji nauk podstawowych i stosowanych.

Pogląd przeciwny, powiadający, iż wolność badań powinna służyć bezpośrednio interesom państwa, a badania podstawowe powinny być podporządkowane jego polityce społeczno-gospodarczej, jest niebezpieczny zarówno dla nauki, jak i dla państwa. Sądzę, że swoboda badań ma służyć przede wszystkim nauce, a tylko wolne i kompetentne badania mogą służyć interesom społeczeństwa. Prawdą jest oczywiście, iż ściśle rozgraniczenie badań podstawowych i stosowanych jest praktycznie niemożliwe i że wiele placówek prowadzi zarówno jedno, jak i drugie. Kłopot ten dotyczy wszakże wszelkich rozgraniczeń, na przykład również między poszczególnymi dyscyplinami nauki, z czego nie wynika, iż nie należy ich od siebie odróżniać. Toteż sądzę, iż wychodzące głównie ze środowiska przedstawicieli badań stosowanych propozycje zastąpienia obecnej struktury KBN przez komisje zajmujące się zarówno badaniami stosowanymi, jak i podstawowymi w poszczególnych dziedzinach, a tym samym zmiany dotychczasowych reguł finansowania, są sprzeczne z intencją przeprowadzonej reformy. Prowadziłoby to bowiem w znacznym stopniu do ponownego uzależnienia alokacji środków na badania podstawowe od kryteriów pozamerytorycznych.

O wiele bardziej skomplikowana jest kwestia polityki państwa w dziedzinie badań stosowanych i rozwojowych.

Przed wszystkim wiele kompetentnych osób sądzi, że w obecnej sytuacji gospodarczej, w warunkach recesji, kiedy przedsiębiorstwa nie mają środków na badania i modernizację, gdy nie wiadomo, jak poszczególne gałęzie polskiego przemysłu przystosują się do reguł rynku i międzynarodowej konkurencji, ustalanie jakichkolwiek priorytetów w dziedzinie przemysłowych badań stosowanych jest po prostu niemożliwe i pozostaje tylko wspierać te badania, które nie odbiegają od międzynarodowych standardów. Ale jeśli nawet uznać to stanowisko za błędne, pozostaje pytanie: na czym ma obecnie polegać polityka państwa w tym obszarze badań?

³ Nie dysponując informacją ani na temat, w jaki sposób KBN wytypował priorytety badawcze, ani na jakiej podstawie zostały one zatwierdzone przez Radę Ministrów, dodałem do pierwotnie bardziej radykalnej opinii w tej kwestii słowo „niemal”.

Pogląd, iż taki kraj jak Polska może osiągnąć autarkię w badaniach stosowanych, okazał się utopią. Doprowadził natomiast do nadmiernej rozbudowy i braku ukierunkowania całej tej sfery. Nasze zacofanie w tej dziedzinie jest wynikiem długiego procesu historycznego i trudno oczekiwać, że zostanie ono szybko przezwyciężone. Jest ponadto rzeczą niemal pewną, iż w najbliższych latach głównym źródłem innowacji w przemyśle będzie napływ zagranicznej technologii, a nie wyniki prac prowadzonych przez nasze placówki badawcze. Nie ulega też wątpliwości, że tym, co hamuje dziś postęp społeczno-gospodarczy nie jest brak wiedzy technicznej. Wiadomo doskonale, co należałoby zrobić, aby powstrzymać degradację środowiska naturalnego czy też obniżyć stopę śmiertelności niemowląt. Do osiągnięcia tych celów brakuje nam przede wszystkim niezbędnej infrastruktury. Dlatego też w najbliższych latach głównym problemem w badaniach stosowanych i rozwojowych będą nie tyle oryginalne innowacje, ile adaptacje znanych rozwiązań. Temu, jak sądzę, powinna być przede wszystkim podporządkowana nasza polityka w tej dziedzinie badań. Jeśli rzeczywiście chcemy zaprzestać finansowania badań stosowanych, które nie znajdują praktycznego zastosowania, nasza polityka w dziedzinie oryginalnych wyników badań musi być ogromnie selektywna, odporna na oddziaływanie najrozmaitszych grup nacisku. Na ochronę państwa, przede wszystkim w postaci ulg podatkowych i celnych, zasługują tylko te placówki badawcze, które są zdolne do współzawodniczenia z placówkami zagranicznymi. W przeciwnym razie będziemy znów płacić za próby ponownego odkrywania Ameryki. Jeśli mam w tej kwestii rację, to również w dziedzinie badań stosowanych ocena ich jakości musi pozostawać głównym, choć nie jedynym, kryterium ich finansowania.

Zdaniem niektórych ekonomistów, wszelkie próby regulowania przez państwo *struktury* obszaru badań poprzez wyznaczanie priorytetów mogą prowadzić do odradzania się centralnego sterowania gospodarką. Zgodnie z tą opinią, to nie administracja państwowa i nie uczeni, lecz rynek powinien decydować o tym, które instytucje badawcze w dziedzinie badań stosowanych powinny istnieć. Nie ma zatem powodu, by wspierać przez finansowanie statutowe placówki, na których wyniki badań nie ma zapotrzebowania. Ich upadek nie przyniósłby szkody ani nauce, ani gospodarce. Uznanie tego poglądu (a nie ulega wątpliwości, że sygnalizuje on realne dziś niebezpieczeństwo) nie musi oznaczać rezygnacji z takich instrumentów ingerencji państwa w sferę badań stosowanych jak zwolnienia z ceł, kredyty preferencyjne czy ulgi podatkowe. Problem polega wszakże na tym, iż w obecnej sytuacji finansów państwa wszelkie tego rodzaju ulgi zostały zniesione, a bez nich dalszy rozwój badań stosowanych będzie zależeć nie od mechanizmów rynkowych, lecz od mniej lub bardziej arbitralnych decyzji bądź to administracji, bądź interesów poszczególnych grup nacisku w społeczności akademickiej.

Zauważmy wreszcie, że wspomniany wyżej pogląd nie może dotyczyć badań stosowanych w takich dziedzinach, jak np. ochrona zdrowia czy środowiska. Ponieważ państwo jest niemal jedynym sponsorem tych badań i jedynym odbiorcą ich wyników, musi ono kierować się określonymi priorytetami i dostosowywać do nich alokację środków.

Szkolnictwo wyższe

W Polsce istnieje około stu szkół wyższych. Ich poziom jest niezwykle zróżnicowany, a na pełny status akademicki zasługuje zapewne nie więcej niż trzydzieści. Mimo to wszystkie nadają stopień magistra. Nie ma natomiast wyższych szkół zawodowych, a liczba studentów na tysiąc mieszkańców jest jedną z najniższych w Europie.

Ustawa o szkolnictwie wyższym z 1990 r. dała tym szkołom szeroki zakres autonomii, nie podjęła jednak w ogóle kwestii *struktury* całego systemu szkolnictwa wyższego. Przyznając

szkołom prawo samodzielnego ustalania swej struktury i programów, pozostawiła ona tę kwestię ich inicjatywie. Wskutek cięć budżetowych, konserwatywnej postawy znacznej części społeczności akademickiej oraz wielu nie sprzyjających reformie ministerialnych rozporządzeń wykonawczych sytuacja pozostaje w zasadzie bez zmiany.

Jednocześnie wydatki na szkolnictwo wyższe (i w ogóle na oświatę) nadal traktowane są często przez rząd i parlament jako „wydatki na konsumpcję”, a nie na rozwój. Jest to groźne nieporozumienie; jeśli w ciągu najbliższych lat nie zwiększymy zasadniczo liczby absolwentów rozmaitego rodzaju szkół wyższych, wszystkie procesy społeczne oraz polityczne w kraju będą przebiegać z ogromnymi trudnościami i możemy stanąć w obliczu katastrofy cywilizacyjnej i kulturalnej.

Uniknięcie tej groźby zależy w znacznym stopniu od zasadniczej przebudowy systemu szkolnictwa wyższego (i oświaty w ogóle). Niezbędne jest formalne zróżnicowanie istniejących szkół wyższych na szkoły akademickie, dające stopień magistra i doktora oraz wyższe szkoły zawodowe – czy to afiliowane przy szkole akademickiej, czy też, co zapewne byłoby lepszym rozwiązaniem, funkcjonujące jako samodzielne instytucje. Absolwenci tych ostatnich powinni, oczywiście, mieć możliwość kontynuowania studiów w szkołach akademickich. Obowiązek prowadzenia badań nie powinien dotyczyć nauczycieli wyższych szkół zawodowych, co nie znaczy, iż nie powinni mieć po temu możliwości, jeśli tylko na ogólnych zasadach uzyskają środki na swe projekty badawcze. Przewody doktorskie i habilitacyjne powinni wszakże przeprowadzać w szkołach akademickich (lub instytutach badawczych).

Powyższa koncepcja, choć wcale nie oryginalna, jest wysoce niepopularna wśród pracowników potencjalnych szkół zawodowych. Traktują oni ją jako próbę pozbawienia uzyskanej uprzednio nobilitacji. Toteż trudno się spodziewać, by szkoły te z własnej inicjatywy, bez przymusu prawnego, podjęły wysiłek samorestrukturyzacji. Świadczy o tym m.in. fakt, że w toku dyskusji nad projektem obowiązującej obecnie ustawy pomysł takiej reformy nie został przyjęty. Wprowadzone zaś ograniczenie uprawnień szkoły w zależności od liczby zatrudnionych doktorów habilitowanych i profesorów nie jest w stanie zmienić istniejącej sytuacji. Podobnie więc jak w przypadku formułowania polityki naukowej państwa, tak i w tej kwestii mamy do czynienia z pytaniem: jak daleko może i powinna iść interwencja państwa?

Pierwszym niezbędnym krokiem w tym kierunku musi być wprowadzenie konsekwentnego systemu oceny poziomu edukacyjnego i naukowego szkół, czyli powołanie *instytucji akredytacyjnej*, czemu właśnie w poczuciu zagrożenia przeciwstawiają się słabe uczelnie. Rzetelne funkcjonowanie tego systemu pozwoliłoby odejść od finansowania szkół wyłącznie na podstawie kryteriów ilościowych – tj. liczby studentów i pracowników.

Problem polega wszakże na tym, kto i w jaki sposób powinien wprowadzić taki system. Istnieje silny i skądinąd zrozumiały opór przeciwko powierzeniu tego zadania najlepszym szkołom. Jedną z możliwości jest powołanie przez Centralną Komisję ds. Tytułów i Stopni Naukowych specjalnego organu akredytacyjnego. Istnieją też inne ewentualności, ale instytucja taka jest absolutnie niezbędna, a żadne przepisy prawne nie sprzeciwiają się temu. Wiara, że rynek pracy sam ostatecznie zadecyduje o wartości dyplomów wydawanych przez poszczególne szkoły, może tylko opóźnić niezbędną restrukturyzację całego systemu szkolnictwa wyższego. Tego rodzaju instytucje akredytacyjne istnieją w wielu krajach, w których rynek pracy funkcjonuje o wiele efektywniej i znacznie dłużej niż u nas.

Nie ulega wątpliwości, że szeroka autonomia uczelni wobec Ministerstwa Edukacji była wykorzystywana do celów konserwatywnych, zwłaszcza w małych placówkach, ale nie tylko w nich. Wydaje się jednak, że podział środków budżetowych między szkoły jest narzę-

dziem dostatecznie potężnym, by ministerstwo mogło za jego pomocą realizować politykę państwa i przyspieszać proces restrukturyzacji całego podległego mu obszaru. Przeszkadza w tym nie tylko skąpy budżet, ale także liczne szczegółowe ministerialne rozporządzenia wykonawcze. Na przykład środki przyznane nawet najlepszym szkołom podzielone są na nader szczegółowe paragrafy, tak że rektorzy nie są władni wykorzystywać ich w sposób, który uważają za najlepszy. Jeśli dopuszczalny poziom zatrudnienia zależy jednoznacznie od liczby studentów, fundusz plac – od liczby zatrudnionych, a wszelka, skądinąd celowa, redukcja zatrudnienia powoduje cięcia budżetowe na rok następny, to oczywiście nikt w takiej redukcji nie jest zainteresowany. Mając na uwadze te i podobne im rozporządzenia, hamujące w istocie pożądane zmiany, trudno się spodziewać, by uczelnie skorzystały ze swej autonomii w sposób zgodny z założeniami reformy, a opinia, iż cieszą się zbyt wielką autonomią, wydaje się mocno przesadzona.

Powstaje zatem błędne koło: skoro rozporządzenia wykonawcze nie sprzyjają reformie, szkoły nie mają powodów, aby być nią zainteresowane, stąd łatwo jest twierdzić, że zachowują się tak, ponieważ uzyskały zbyt szeroką autonomię, trzeba więc zwiększyć uprawnienia administracji państwowej. Rzecz zaś polega w istocie na tym, iż administracja państwowa – zamiast myśleć o stwarzaniu warunków brzegowych, w których zachowania antyreformatorskie nie będą się opłacać – myśli raczej o sterowaniu każdą szkołą z osobna, a nie systemem szkolnictwa wyższego jako całością.

Wspomniane rozporządzenia wykonawcze wpływają bezpośrednio również na sposób, w jaki szkoły i wydziały opracowują swe programy nauczania. Skoro ustawa określa obowiązkowe pensum, a poziom zatrudnienia zależy od liczby studentów, liczba „specjalizacji” nieustannie rośnie, a wszelkie próby zreformowania programów i wprowadzenia zmian w organizacji nauczania są skutecznie blokowane: w obawie przed utratą pracy trwa „walka o studentów”.

Zwiększenie liczby absolwentów szkół wyższych zależy oczywiście od polityki rekrutacji, systemu stypendialnego i ewentualnego obciążenia studentów przynajmniej częścią kosztów kształcenia. Jak dotąd, pomijając fakt, że szkoły same są władne określać limity przyjęć, w praktyce rekrutacji niewiele uległo zmianie. Po 45 latach bezpłatnego systemu szkolnictwa wyższego, w kraju o bardzo niskich dochodach osobistych, postulat odpłatności studiów w państwowych szkołach wyższych jest wielce niepopularny i groźny politycznie. Gdyby taka decyzja (a wymaga ona poprawki do konstytucji) nie musiała oznaczać obniżenia środków budżetowych na szkolnictwo wyższe, lecz była połączona z zasadniczą reformą systemu stypendialnego, w obecnej sytuacji finansowej państwa taki byłby zapewne jej praktyczny skutek, a z pewnością jej społeczny odbiór byłby nieprzychylny.

Aczkolwiek zgadzam się z argumentem powiadającym, iż wyższe wykształcenie powinno być traktowane jako „towar” oferowany przez szkoły wyższe, a nabywany przez ich „klientów”, natomiast polityka edukacyjna państwa powinna polegać na umożliwianiu maksymalnej liczbie młodzieży nabywania tego towaru i na regulowaniu rekrutacji na poszczególne kierunki studiów za pośrednictwem polityki stypendialnej; wydaje się jednak, że w obecnych warunkach taka decyzja doprowadziłaby do dalszego obniżenia i tak już bardzo niskiej liczby studiujących. Nie oznacza to wszakże, iż nie należy podejmować pewnych kroków w tym kierunku. Mam mianowicie na myśli taką reformę (państwowego) systemu stypendialnego, która w pierwszym etapie przyznawałaby środki na stypendia nie szkołom, lecz różnym agencjom; te zaś przydzielałyby je w zależności od sytuacji finansowej zainteresowanych, obranego kierunku studiów i szkoły. W ten sposób szkoła zostałaby zwolniona z roli „sponsora”, a znalezienie go sobie byłoby sprawą studenta. Ponieważ

przez 45 lat nie traktowano wyższego wykształcenia jako czegoś, co trzeba osiągnąć indywidualnym wysiłkiem, lecz jako coś, co się należy, tego rodzaju polityka stypendialna mogłaby wpływać na stopniową zmianę mentalności zarówno studentów, jak i administracji oraz pracowników szkół wyższych. Mogłaby zarazem torować drogę do wprowadzania opłat za studia w ten sposób, iż koszty kształcenia byłyby przynajmniej częściowo pokrywane przez studentów *via* system stypendialny.

Mechanizmy finansowania

Ustawa o Komitecie Badań Naukowych z 1991 r. wprowadziła nowe mechanizmy finansowania, analogiczne dla wszystkich instytucji badawczych oraz szkół, niezależnie od ich podporządkowania resortowego. Z chwilą zastąpienia uprzedniej redystrybucji środków budżetowych na badania między resorty przez bezpośrednie finansowanie instytucji (finansowanie statutowe), zespoły i poszczególnych badaczy (różnego rodzaju projekty badawcze), najistotniejsze stały się następujące problemy:

- a) proporcja środków przeznaczonych na różne strumienie finansowania;
- b) kryteria merytoryczne przyznawania środków poszczególnym instytucjom i zespołom;
- c) faktyczny sposób stosowania tych kryteriów przez komisje, zespoły i sekcje KBN.

W instytutach PAN i placówkach resortowych prowadzących badania stosowane finansowane z budżetu (medycyna, ochrona środowiska, rolnictwo, służby państwowe) finansowanie statutowe ma pokrywać (w całości lub części) ich wydatki administracyjne, płace personelu oraz koszt planowanych badań. W szkołach wyższych koszty administracyjne i płace pokrywane są z budżetu Ministerstwa Edukacji, a finansowanie statutowe przez KBN ma obejmować tylko bezpośredni koszt badań. Finansowanie statutowe z zasady nie obejmuje placówek prowadzących badania stosowane i rozwojowe dla podmiotów gospodarczych zainteresowanych w wykorzystaniu tych badań.

Finansowanie projektów badawczych (nie zamawianych, zamawianych i celowych) ma pokrywać bezpośrednio i pośrednio koszty tych badań podejmowanych zespołowo i indywidualnie, które nie są finansowane statutowo, a także narzuty ściągane przez placówki, w których projekty są realizowane. W pewnych wypadkach finansowanie to obejmuje również honoraria wykonawców.

Te ogólne założenia ustawowe rodzą wiele problemów i kontrowersji.

Po pierwsze, mimo że rektorzy, dziekani i kierownicy placówek badawczych mają potwierdzać, iż badania zgłaszane w projektach badawczych nie są finansowane statutowo, a ich prowadzenie wykracza poza obowiązki służbowe zainteresowanych pracowników, w wielu przypadkach niezwykle trudno jest uniknąć podwójnego opłacania tych samych w istocie badań.

Po drugie, ponieważ finansowanie statutowe pokrywa koszty administracyjne oraz płace placówek Akademii (i niektórych instytutów resortowych), ich funkcjonowanie w o wiele większym stopniu niż szkół wyższych zależy od wysokości środków przeznaczonych na ten cel. Toteż wywierają one stałą presję, by KBN, kosztem dotacji na projekty badawcze, przeznaczał więcej środków na finansowanie statutowe. Szkoły wyższe, przeciwnie, zainteresowane są raczej w zwiększaniu środków na projekty badawcze kosztem finansowania statutowego. W sytuacji ostrych cięć budżetowych ten konflikt interesów jest szczególnie dotkliwy, ponieważ zmniejszenie środków przeznaczonych na finansowanie statutowe grozi upadkiem wielu, nawet dobrych instytucji, natomiast obniżanie środków na

finansowanie projektów badawczych grozi z kolei zaprzepaszczeniem jednego z głównych celów reformy. *De facto*, w ciągu ubiegłych dwóch lat, właśnie wskutek cięć budżetowych i wspomnianej presji środowiska naukowego, środki na finansowanie projektów badawczych malały nie tylko bezwzględnie, ale i procentowo, w stosunku do całości nakładów na badania.

Przynajmniej częściowe rozwiązanie tego trudnego problemu mogłoby nastąpić dzięki:

a) uchwaleniu ustawy o państwowych instytucjach badawczych, precyzującej kryteria merytoryczne, jakie muszą spełniać instytucje zasługujące na pełne statutowe finansowanie ich działalności z budżetu państwa – taki status powinien być przyznawany placówkom przez Sejm na podstawie wniosku KBN;

b) ograniczeniu finansowania statutowego tylko do państwowych instytucji badawczych;

c) znacznemu ograniczeniu stałego zatrudnienia w tych instytucjach i wprowadzeniu zasady, że większość personelu badawczego jest zatrudniana na mocy kontraktów związanych z realizacją określonych badań;

d) przyjęciu zasady, że wszystkie pozostałe badania są finansowane na podstawie konkursów projektów badawczych (nie zamawianych, zamawianych, celowych).

Wydaje się wszakże, że takie rozwiązanie stanie się możliwe dopiero wówczas, kiedy proces restrukturyzacji całego obszaru będzie znacznie bardziej zaawansowany niż jest dziś, a budżet państwa na badania zostanie w jakiejś mierze ustabilizowany na rozsądnym poziomie. Istnieje bowiem uzasadniona obawa, że obecnie, wskutek presji rozmaitych *lobbies*, lista państwowych instytucji badawczych objęłaby niemal wszystkie istniejące placówki.

Głównym pozytywnym wynikiem uchwalenia ustawy o KBN było niewątpliwie uzależnienie finansowania (zarówno statutowego, jak i projektów badawczych) od oceny poziomu naukowego instytucji oraz zespołów badawczych. Kryteria tej oceny wymagają z pewnością dalszego uściślenia i wzajemnego uzgadniania, by nie kłóciły się ze sobą. Wprowadzenie priorytetowych kierunków badań wymaga niewątpliwie powiązania kryteriów oceny użyteczności z kryteriami oceny poziomu naukowego, co wcale nie jest rzeczą prostą i zawsze będzie budziło spory dotyczące hierarchizacji tych kryteriów w przypadku badań stosowanych. W przypadku finansowania statutowego niezwykle trudne jest praktyczne zastosowanie wypracowanych kryteriów do oceny ogromnej liczby ubiegających się o nie jednostek organizacyjnych szkół wyższych (katedr, zakładów, instytucji). Również i z tego powodu niezbędne jest stworzenie instytucji akredytacyjnej dla szkolnictwa wyższego.

Najwięcej kontrowersji i niezadowolenia budzą jednak nie same kryteria, lecz sposób ich stosowania przez sekcje, zespoły i komisje KBN. Trudno powiedzieć, w jakim stopniu owa krytyka, postulująca często zasadniczą zmianę systemu, jest reakcją obronną tych, którzy nie mają wielkich szans na sukces w merytorycznej konkurencji, ale z pewnością wskazuje ona często na rzeczywiste niedociągnięcia czy nieprawidłowości kompromitujące system (odstępstwa od regulaminów, protekcyjność, nierzetelność recenzji, prywatność, utracanie projektów konkurentów itp.).

Ponadto kosztorysy składanych projektów badawczych są zazwyczaj mocno zawyżone w stosunku do rzeczywistych kosztów ich realizacji, autorzy spodziewają się bowiem cięć. Z drugiej natomiast strony, sekcje i zespoły przyznające środki, chcąc zadowolić możliwie największą liczbę projektodawców, niekiedy tak obniżają kosztorysy, że przyznane środki nie zapewniają realizacji projektów. Częściowym wyjściem z tej sytuacji mogłoby być rozdzielenie ciał KBN układających listy rankingowe zgłoszonych projektów od ciał decydujących o wysokości środków przyznawanych na ich realizację, a także wprowadze-

nie zasady, iż projekty o wyraźnie zawyżonych kosztorysach zostają odrzucone bez dalszych negocjacji.

W niczym nie pomniejszając znaczenia tych i innych niedociągnięć w funkcjonowaniu systemu merytorycznej oceny instytucji badawczych oraz konieczności ulepszenia go, należy pamiętać, że opinia publiczna nieporównanie mocniej reaguje na wypaczenia niż na normalne, zgodne z regułami funkcjonowanie. Pozostaje zaś faktem, że już do pierwszego konkursu projektów badawczych zgłoszono około 10 tys. projektów, że zostały one najpierw zrecenzowane przez anonimowych recenzentów, a następnie – powtórnie – przez sekcje KBN, oraz że na tej podstawie 20% z tej liczby zostało zakwalifikowanych do realizacji. Podobnie było w kolejnych konkursach w latach 1991 i 1992. Jeśli nawet nie wszystkie decyzje były trafne i sprawiedliwe, trudno zaprzeczyć, że merytoryczna konkurencja stała się czynnikiem kształtującym postawy społeczności akademickiej, a młodzi badacze uzyskali możliwość podejmowania własnych projektów i że KBN czyni wysiłki mające zapobiec wypaczeniom funkcjonowania systemu zarówno w kwestii finansowania statutowego, jak i wszelkiego rodzaju projektów badawczych.

Przebudowa instytucji badawczych i szkół wyższych

Jednym z głównych celów reformy była przebudowa odziedziczonej struktury instytucjonalnej nadmiernie rozbudowanego oraz niewłaściwie ukierunkowanego obszaru badań i szkolnictwa wyższego.

Niektóre placówki badawcze, podporządkowane różnym ministerstwom, w ogóle nie prowadziły badań (czy to podstawowych, czy stosowanych) ani nie miały nawet personelu naukowego. Jakikolwiek dalsze finansowanie ich z budżetu nauki byłoby jawnym nieporozumieniem – powinny być zostać bądź zlikwidowane, bądź włączone do przedsiębiorstw, dla których wykonywały prace usługowe. Pozostałe, łącznie z instytutami PAN, miały, a często nadal mają, stanowczo zbyt liczny personel.

W obecnej sytuacji, kiedy z jednej strony mamy zbyt wiele instytucji miernych naukowo, o zbyt wysokim poziomie zatrudnienia, a z drugiej – brakuje środków na zatrudnianie młodych absolwentów i na podwyższanie płac do poziomu, na którym kariera naukowa byłaby w miarę atrakcyjna, procesowi restrukturyzacji instytucji przeciwstawia się taktyka „ratowania tego, co istnieje”, tak jak gdyby wszystko co istnieje zasługiwało na przetrwanie i jakby zachowanie tego, co zachowane być powinno, było możliwe bez zasadniczej restrukturyzacji.

Istotnym, choć nie jedynym, czynnikiem przeciwstawiającym się procesowi restrukturyzacji jest niewątpliwie konserwatywna i egalitarna postawa znacznej części społeczności akademickiej. Niektóre rady naukowe – wobec braku środków na płace – opowiadają się za obniżeniem wynagrodzeń wszystkim po równo, aby tylko nikogo nie zwalniać, niektóre zaś – za bezpłatnymi urlopami dla wszystkich zatrudnionych. Nie ulega wątpliwości, że tego rodzaju postawy podyktowane są często szlachetnymi względami, że interes instytucji często popada w sprzeczność z interesami jednostkowymi, ale łagodzenia tego konfliktu trzeba szukać w inny sposób niż przez utrzymywanie *status quo*. Jeśli ta sytuacja utrzyma się nadal, za kilka lat grozi nam ogromna luka pokoleniowa, której wypełnienie będzie wymagać dziesięcioleci.

Do czynników opóźniających restrukturyzację instytucji badawczych i szkół wyższych należą zatem: przeciwnskuteczne rozporządzenia wykonawcze, stanowczo zbyt wielka liczba

osób zatrudnionych na stałe, a nie na kontraktach, a także zwalnianie w przypadku redukcji przede wszystkim ludzi młodych.

Odrębną sprawą jest kwestia reformy Akademii Nauk, jednej z niewielu instytucji, której status prawny nie uległ zmianom bodajże od jej powstania (pomijając drobne nowelizacje ustawy z ubiegłych lat oraz zmiany w rozporządzeniach wykonawczych poszerzające uprawnienia placówek Akademii). Włączenie placówek PAN do struktury szkolnictwa wyższego wydaje się niemal niemożliwe ze względów organizacyjnych i nie jest tym, czego szkoły pragnęłyby ze względów konkurencyjnych. Likwidacja tych placówek (przynajmniej ogromnej większości) byłaby oczywistym nonsensem. Rozwiązaniem mogłaby być wspomniana już uprzednio ustawa o państwowych instytutach naukowych, nadająca większości instytutów PAN osobowość prawną oraz znosząca ich sztuczne i niepotrzebne podporządkowanie administracji Akademii. Akademia zaś, tracąc status organu administracyjnego państwa, powinna pozostać najważniejszym w kraju stowarzyszeniem naukowym o charakterze opiniotwórczym. Z chwilą wszakże, gdy finansowanie placówek Akademii odbywa się na tych samych zasadach jak innych instytucji badawczych, sprawa jej reformy zesłała z porządku dziennego. *Nota bene*, próby reformy akademii nauk we wszystkich krajach postkomunistycznych skończyły się na niczym.

Nie ulega wątpliwości, że proces wewnętrzznego reformowania instytucji badawczych oraz szkół wyższych zależy w znacznym stopniu od sposobu zarządzania nimi. Presja społeczna i tradycja sprawiają, że pozostajemy nadal przy modelu korporacyjnym, a nie „prezydencckim”. Władza wykonawcza rektorów, dziekanów i dyrektorów jest w ogromnym stopniu ograniczona przez ciała zbiorowe. Wybieramy ich w demokratycznych wyborach, a jednocześnie niezmiernie krępujemy im możliwości zarządzania. Nawet w ramach modelu korporacyjnego możliwe są lepsze rozwiązania niż te, które przyjęliśmy w 1990 r. Ponieważ jednak szkoły same uchwalają własne statuty, ograniczenie nadmiernych kompetencji ciał zbiorowych, korporacyjnych na rzecz władz wykonawczych będzie się niewątpliwie spotykać z oporem.

Kwestią z tym związaną jest brak kompetentnej, zawodowej administracji szkół wyższych.

Personel nauczający i badawczy

Przez wiele lat karierę naukową traktowano często jako swego rodzaju azyl – dawała ona względną swobodę i prestiż; wybierano ją nierzadko nie tyle ze względu na powołanie, ile dlatego, że w istniejących okolicznościach spośród wielu innych złych wyborów wydawała się złem mniejszym. W każdym razie kandydatów do niej nie brakowało, podczas gdy ideologiczne i polityczne kryteria doboru kadry często promowały raczej konformistów niż ludzi o mocnych motywacjach oraz niezależnej postawie intelektualnej. Jednym z rezultatów tego dziedzictwa jest stan, w którym – z jednej strony – część kadry nie jest zdolna do wykonywania zadań, jakie przed nią stały i stoją, z drugiej zaś – sytuacja finansowa szkolnictwa i nauki utrudnia naturalny proces wymiany pokoleniowej, co grozi luką pokoleniową. Liczba nowych miejsc pracy dla młodych jest bardzo mała, a kariera naukowa, choćby ze względów finansowych, nie jest wartością najbardziej atrakcyjną. Chociaż więc liczba zdolnych kandydatów do szkół wyższych nie maleje, to po ukończeniu studiów szukają oni pracy raczej poza obszarem nauki i szkolnictwa. Tym samym i tak zła struktura wiekowa kadry ulega dalszemu pogorszeniu.

Nowe ustawy nie przyczyniły się do zmiany tej sytuacji. Znakomita większość pracowników badawczych i nauczycieli akademickich zatrudniona jest na stałe, co blokuje naturalną wymianę oraz utrudnia redukcję personelu tam, gdzie jest zbyt liczny. Propozycja ograniczenia stałego zatrudnienia tylko do osób z tytułem profesora spotyka się oczywiście z ogromnym sprzeciwem.

Skutek zniesienia tytułu profesora nadzwyczajnego i stanowiska docenta wydaje się zgoła odwrotny w stosunku do oczekiwanego: zamiast zróżnicowania ogromnie licznej grupy docentów na tych, którzy powinni być zatrudnieni na kontraktach jako adiunkci i tych, którzy w niedługim czasie mają szanse uzyskania tytułu profesora, wprowadzona zmiana spowodowała, że niemal wszyscy oni uzyskali stanowiska profesorów (profesury uczelniane), a ich sytuacja została ustabilizowana.

Hierarchia stanowisk pozostała nadal wielce rozbudowana i wprowadzone zmiany nie przyspieszyły procesu uzyskiwania samodzielności przez młodych pracowników naukowych ani w szkołach, ani w placówkach badawczych. Teoretycznie – najlepszym rozwiązaniem byłoby zapewne uzyskiwanie samodzielności wraz ze stopniem doktora i pozostawienie uczelniom swobody w dalszym awansowaniu doktorów na wyższe stanowiska (właściwie dlaczego profesorów mają mianować politycy?). Mając jednak na uwadze brak precyzyjnych procedur i mechanizmów oceniających, niechęć ludzi do oceniania kolegów i do bycia ocenianym oraz panujące stosunki wewnątrz społeczności akademickiej, tak radykalna reforma mogłaby dziś okazać się przeciwnie skuteczną. Toteż zachowanie habilitacji oraz Komisji ds. Stopni i Tytułów Naukowych, jako niezbędnych „filtrów” zapobiegających dalszej dewaluacji stopni i tytułów, wydaje się na razie koniecznością. Musi zapewne upłynąć jakiś czas, nim powszechniejsza stanie się świadomość, że wypełnianie własnych szkół oraz instytucji badawczych pseudoprofesorami przynosi szkodę i instytucjom, i poszczególnym społecznościom akademickim.

*

W dwa lata po wprowadzeniu w życie nowych ustaw nie ulega wątpliwości, że wiele z ich postanowień wymaga modyfikacji. Jestem wszakże przekonany, że: po pierwsze, funkcjonowanie nowych ustaw da się w znacznym stopniu usprawnić bez wszczynania na nowo procesu legislacyjnego, potrzeba natomiast więcej czasu na ujawnienie zarówno pozytywnych, jak i negatywnych wyników ich działania oraz po drugie, co może najważniejsze, że wszczynanie kolejnego procesu legislacyjnego w obecnej sytuacji finansowej i politycznej niekoniecznie musiałoby doprowadzić do przyspieszenia procesów reformacyjnych.